

Brak Słów – nr.1

01.06.2021



Spis treści

PUBLICYSTYKA

<i>Fake news is coming</i>	3
<i>Gabinet osobliwości</i>	6
<i>Chemtrails Over The Country Club – ostatnia taka intymność</i>	9

POEZJA

<i>Dorosłość</i>	13
<i>Ad extremum</i>	14
<i>Na koniec</i>	15
<i>Tragedia liturgiczna</i>	16
<i>Re: Arystokracja</i>	17

PROZA

<i>Psuje nas cisza</i>	18
<i>To teach or not to teach</i>	19

GOŚCINNIE

<i>Orgazm nad Wisłą</i>	23
-------------------------------	----

Fake news is coming

Julia Cieślewicz

czyli o tym, jak możemy się obronić przed zjedzeniem przez dezinformację

My, ludzie XXI wieku, nie lubimy być ofiarami. Rezerwujemy to określenie dla poległych na wojnach, ludzi skrzywdzonych przez system czy osób, które doświadczyły różnego rodzaju przemocy. Duma nie pozwala nam powiedzieć tak o sobie. Chcemy stawić czoła przeciwnościom losu, przekuć porażki albo potknięcia w lekcje. Doświadczenie pokazuje jednak, że często padamy ofiarami oszustw i kłamstw. Te mogą mieć jednak różną skalę i wpływ na nasze życie.

Jak nie paść ofiarą Internetu? Unikać fake newsów. Żeby to zrobić, należy rozumieć, czym są i nauczyć się je rozpoznawać¹.

Z natury ludzie lubią koloryzować, czasami przeinaczają nieświadomie pewne fakty lub zwyczajnie chcą komuś zaszkodzić plotką. Znamy to z życia codziennego, potrafimy czasem „przefiltrować” informacje zasłyszane od kogoś, kto jest znany z konfabulacji. Potrafimy waloryzować te zachowania, ale nie potrafimy ich przecież rozpoznać, gdy nie znamy osoby, która nam te informacje powierza. Wierzymy, że to prawda, ale nie mamy pewności. Podobny mechanizm odnajdujemy w fake newsach. Wyjaskrawione, kuszące, odrażające, czy najbardziej kontrowersyjne treści zawsze zdobędą największą publikę.

¹<https://businessinsider.com.pl/technologie/digital-poland/fake-newsy-jak-odroznic-prawde-od-klamstwa/y32t33d> [dostęp: 07.01.2021].

Poza fake newsami, czyli nieprawdziwymi informacjami (z ang. *fake* – fałszywy, sztuczny, podrobiony, sfałszowany; *news* – wiadomość), coraz częściej mamy do czynienia w mediach społecznościowych z deepfake’ami czy viralami. Czym one są? Przemek Chojecki, założyciel firmy technologicznej *ulam.ai* i doktor matematyki, tłumaczy je tak: „Deepfake jest stworzonym przez komputer obrazem lub filmem, który udaje prawdziwy, jest fotorealistyczny i wprowadza do obiegu fałszywą informację. Głośny był na przykład deepfake prezydenta [Baracka] Obamy, który... ostrzegał przed deepfake’ami, a został stworzony przez amerykańskiego komika”².

Programy komputerowe literalnie mogą włożyć słowa w usta kogoś innego. Przeraża stopień wiarygodności sfabrykowanych nagrań – trudno jest rozpoznać ich nieprawdziwość. Jako użytkownicy social mediów największy dostęp mamy do virali, czyli fake newsów, które rozprzestrzeniają się w społeczności niczym wirusy – bardzo szybko, repostowane przez „szeregowych użytkowników”, potencjalnie każdego z nas. Fenomen virali (ang. *viral phenomenon*) odnosi się do kultury Internetu, jego przykładem jest mem. Viralowe nagranie (ang. *viral video*) to takie, które bardzo szybko nabiera dużej popularności.

Najgorsze instynkty odbiorców, ich nieskończona i chorobliwa ciekawość, chęć usłyszenia przełomowych informacji nawet, gdy takimi nie są

² Przykład strony, na której można odnaleźć zweryfikowane wypowiedzi: <https://oko.press/kategoria/prawda-czy-falsz/> [dostęp: 25.05.2021].

– to wszystko nadało kształt współczesnym mediom. Czyli jak możemy się obronić przed fake newsami? Oto kilka porad, które mogą pomóc:

1. Jeśli czujesz, że informacja znaleziona w Internecie „gra” na twoich emocjach, wpływa silnie na samopoczucie, to mogła ona zostać zmanipulowana.
2. Zawsze szukaj linku do źródła w artykułach opiniotwórczych. Poznaj podstawę wypowiedzi, nie powielaj czyjejs opinii.
3. Szukaj informacji w wielu źródłach – to najprostsza metoda weryfikacji.
4. Pamiętaj, że w Internecie każdy może zostać twórcą. Zwracaj uwagę na informację o autorze tekstu i sam oceń, czy warto mu uwierzyć.

Nikt z nas nie lubi być ofiarą. Tym bardziej wytworu ludzkiej wyobraźni czy algorytmu. W naszym świecie trudno jest obronić się przed każdym fake newsem. Starajmy się jednak mieć świadomość ich istnienia, nie przyjmować wszystkiego na wiarę, nie być „pożytecznym idiotą” podającym dalej. Myślę, że współcześnie nie ma miejsca na domniemanie niewinności informacji krążącej w Internecie. Paradoksalnie musimy domniemywać kłamstwo, póki go nie zweryfikujemy. Najlepiej odczekajmy dwa lub trzy dni – po ich upływie informacje zapewne „same” się zweryfikują.

Jak nigdy nie paść ofiarą fake newsa w Internecie? Jest tylko jedna skuteczna metoda: być offline.

Gabinet osobliwości

Aleksandra Pawełczyk

Czy czytelników fascynuje wszelka dziwność? Czego szukają w biografach dawnych i współczesnych pisarzy? I wreszcie – czy w tym wszystkim chodzi o oryginalność? Zarówno teksty krytycznoliterackie, jak i badania z zakresu psychoanalizy mogą pomóc nam zrozumieć tajemnicze życiorysy, ale czy odpowiedzą na wszystkie pytania?

Emily Dickinson i Sylvia Plath – osobliwe zestawienie i efekt podążenia za fascynacją, pogrążenia się w życiorysach autentycznych. Osobliwe, bo trudno mówić o ścisłych związkach między pisarkami z tak różnych epok i środowisk. Pokuszę się o stwierdzenie, że i z różnych wymiarów, bo czy nie żyły własnym, oryginalnym światem wyobrażeń? Negacja, odważne pomysły, wykraczanie poza ramy i konwenanse, to stałe elementy twórczości Niezwykłych. Jednak czy światy te mogą się przenikać?

Na początek przenieśmy się do wieku XIX – czasu rozkwitu romantycznych wartości, ale i dekadentyzmu. To wtedy żyła Emily Dickinson – kobieta, która zamknęła się na 20 lat w domu i w tajemnicy przed światem tworzyła poezję. Nie wyszła nigdy za mąż, a koniec jej życia naznaczyła potworna samotność. Samotność tak głęboka, że pod jej wpływem powstało 1775 wierszy. Co ciekawe – za życia opublikowała ich jedynie 10. Żyła w cieniu i nieświadomości, że ponad 200 lat później stanie się rozpoznawalna na całym świecie. O Dickinson powstały setki publikacji, a dziś nadal fascynuje tajemnica niemal pustelniczego życia pisarki. Co spowodowało wycofanie się kobiety? Szaleństwo czy choroba? A może ucieczka? Współcześnie pojawiają się coraz to odważniejsze

pomysły i badania, a listy Dickinson stały się przedmiotem badań queerowych i feministycznych. Tymczasem na gruncie polskim pojawiło się kilka prac poświęconych poetce, a w jednej z nich możemy przeczytać:

*[...] szokuje zmysłową intensywnością wierszy miłosnych i zaskakuje wtłaczaniem gwałtownych emocji w logiczne schematy myślenia. [...] Dickinson myśli emocjami i fizycznie odczuwa myślenie, co w świetle akcentowanych dziś w literaturoznawstwie teorii cielesności i afektu czyni jej twórczość wciąż aktualną, także w perspektywie teoretycznej. [...] Dickinson traktuje formalne rygory zwrotki balladowej, regularność rymu i rytmu, a także wymogi gramatycznej poprawności ze swobodą jazzowego solisty [...]*¹.

Dickinson niewątpliwie była poetką Niezwykłą – wyłamywała się z formalnych schematów epoki (odradzano jej publikację wierszy, bo były zbyt nowatorskie), a jednocześnie miała ich pełną świadomość. Przewyższyła ówczesną krytykę, podejmowała tematy trudne, wchodziła w dialog z Bogiem – niekiedy dopuszczając się bluźnierstwa. O śmierci mówiła w takich słowach:

Rozważam – ziemia tak krótko –

Cierpienie – absolutne –

Tylu zranionych w smutku –

*Jednak – Cóż z tego?*²

¹ A. Salska, Emily Dickinson po polsku, „Poznańskie Studia Polonistyczne. Seria Literacka” 2018, nr 33, s. 271-290.

² E. Dickinson, I jestem różą, przeł. L. Marjańska, Wydawnictwo Książkowe Twój Styl, Warszawa 1994, s. 61.

A co z tajemnicą śmierci Sylvii Plath? Amerykańska pisarka, uwikłana w pułapkę chorób psychicznych, pierwszych prób leczenia (głównie elektrowstrząsami) i żyjąca w toksycznym związku. Finał – samobójstwo. Metoda bardzo desperacka, bo zatrucie gazem. A przecież ostatnia powieść – *Szklany klosz* – wzbudza zainteresowanie również współcześnie, bo to, co „ostatnie” i „tajemnicze” hipnotyzuje niejednego czytelnika. Bohaterka powieści może wzbudzać skojarzenia z samą autorką i pojawia się kolejne pytanie – czy jest to autokreacja? Ale czytelnik może poszukiwać też odpowiedzi na najważniejsze pytanie, czyli *dlaczego kobieta targnęła się na swoje życie?* Psychoanalitycy podejmowali próby zrozumienia pisarki, co doprowadziło do stworzenia terminu „efektu Sylvii Plath”, czyli teorii, wedle której pisarki są bardziej narażone na choroby psychiczne. Potwierdzają to również polskie badania, w których możemy wyczytać:

Wiele prac potwierdza, że pisarze narażeni są zwłaszcza na zaburzenia nastroju – depresję i chorobę afektywną dwubiegunową, a także schizofrenię. Ponadto w tej grupie zawodowej częste są także samobójstwa. [...] Kobiety, które zajmują się twórczością literacką, mają tendencję do bardziej abstrakcyjnego spostrzegania świata i kierowania się intuicją, jednakże niezależnie od płci, pisarze mogą przejawiać cechy osobowości, które przeczą utartym schematom ról płciowych³.

Pytanie o szaleństwo (czy właściwie szaleńców) pozostaje otwarte. Bo czy da się w tak krótkiej formie zbadać tak niesamowite biografie? Tajemnica życia pewnie nigdy nie zostanie rozwiązana, a nam –

³ K. Łukasiewicz, Cechy osobowości młodych twórców podejmujących próby literackie, „Teraźniejszość – Człowiek – Edukacja” 2016, t. 19, nr 3(75), s. 92.

czytelnikom – pozostaną tylko poszukiwania i zlepianie skrawków powieści i historii życia. Praca ta nie rozwiała żadnych wątpliwości, a być może wzbudziła ich jeszcze więcej... Ale może właśnie o to chodzi – o nieskończone zadawanie pytań.

***Chemtrails Over The Country Club* – ostatnia taka intymność**

Filip Kaczmarek

Z dużą dozą zdziwienia uświadomiłem sobie, jak bardzo recenzja muzyki przypomina mi polowanie: nuty, głos, wreszcie słowa wydostają się z papieru i pędzą przed siebie, biegną przez telewizory, radia i komputery - niestrudzenie gnają w bezkres stepu ludzkiej świadomości. Cóż, gatunkowi, na który poluję, wyginięcie raczej nie grozi, ale i tak wolę zastawić sidła tylko na część zwierzyny. Niech reszta biega wolno, moich jeńców zaś z powrotem będę musiał zatrzasnąć w ciasnej klatce papieru – tym razem przysłużą się mojej woli. Niegdyś dumne i wzniosłe słowa śpiewanej poezji upadną do rangi prostej recenzji.

Pierwsze przesłuchanie *Chemtrails Over The Country Club* Lany Del Rey uświadamia, że album należy do kategorii tych, które albo absolutnie się kocha, albo wręcz przeciwnie – ogromnie się nimi gardzi. Dysonans taki uwidacznia fakt odejścia przez artystkę od sfer już przez nią znanych i zbadanych – wypływa tutaj na zupełnie nowe wody i tak z charakterystycznego dla niej alt popu przechodzi w delikatny folk. Równoczesne zmiany muzyki i jej autorki postępują w kierunku stabilizacji, ugruntowania pewnych już wartości, które, ku zaskoczeniu odbiorców, nie są już snami o ucieczce od świata

rzeczywistego do Ameryki lat 60., czy też manifestem artystycznym, ale za to opisem poetyzowanych obrazów z życia na południu Stanów Zjednoczonych.

Najnowsza płyta Lany Del Rey jest tak różna od czegokolwiek wcześniej przez nią wydanego, że trudno szukać analogii między albumami – brakuje tutaj monumentalności *Born To Die*, rewolucyjnej harmonii *Lust For Life* czy artystyczności *Norman Fucking Rockwell* – tym razem odbiorca spotyka się ze szczerze ukazaną intymnością, wyrażaną szeregiem obaw, wspomnień i wreszcie marzeń dojrzałej już kobiety. To pierwsze tak wyraźne uzewnętrznienie od 2015 roku, kiedy to Del Rey wydała *Honeymoon*, metafizyczny album przepiękny poetyką marzeń sennych. *Chemtrails...* jednak jest inny – nie stosuje oniryzmu, nie wprowadza słuchacza w mgłę wizji autorki, ale stawia go naprzeciw czystej esencji piosenkarki, stawia go przed tym, co chciała wyśpiewać chyba od zawsze, lecz dopiero teraz mogła sobie pozwolić na taką szczerść. Lana Del Rey jest postacią wysoce niezależną: dlatego zawsze robi to, co chce – to, co uwidacznia się w jej eksperymentach muzyczno-poetyckich i wreszcie personalnych. Wszystko to daje nam zupełnie nową sztukę i rzuca światło na samą postać piosenkarki – w przypadku tego albumu wydaje się, że słuchamy śpiewającej z głębi serca Elizabeth Grant, nie Lany Del Rey.

White Dress, utwór otwierający płytę i tym samym wprowadzający w najnowszą kreację artystki jest swoistą syntezą wspomnień i pragnień artystki – przywołuje ona tutaj historię z czasów, gdy pracowała jako kelnerka, by zestawić ją z pragnieniem miłości, bycia zauważoną, wreszcie osiągnięcia dobrego samopoczucia. Piosenka jest

wyraźną manifestacją całokształtu płyty i wprowadza w odpowiedni nastrój, nastawia na odbiór albumu.

Potem robi się tylko ciekawiej – drugi w kolejności jest utwór tytułowy, który bez wahania nazwałbym jednym z największych hymnów miłosnych XXI wieku. Autorka zręcznie łączy tutaj rzeczywistość, poetykę marzenia, bliskość, intymność i astrologię, buduje klimat i zachwyca wręcz swoją delikatnością. Kto nigdy nie zaznał takiej miłości, będzie płakał łzami czystymi, rzęsiстыми. Dlatego też zawsze mam pod ręką parę chusteczek – utwór robi ogromne wrażenie, może nawet wprowadzać w metafizyczny stan nie do opisania, jest po prostu zjawiskowy – to najjaśniejsza z pereł tego albumu. Lana Del Rey śpiewa: *My Cancer is sun and my Leo is moon* – być może łatwość zrozumienia jej astrologicznego w tym wypadku przekazu jest dla mnie tak łatwa z racji tego, że *my Gemini is sun and my Cancer is moon*.

Tak jak mówiłem, jestem tylko prostym myśliwym, który nie łapał całej zwierzyny, a jedynie kilka okazów – dlatego też został mi do skatalogowania ostatni z jeńców – imię jego *Tulsa Jesus Freak*, utwór trzeci z kolei. Tutaj w oczy rzuca się wyrażone wprost pragnienie powrotu na ranczo, odpoczynku, prostej, szczerzej miłości, a nawet bliskości z Jezusem. Autorka stawia tutaj także czoła przeszłości, zaznacza, że podlega zmianie, która obok intymności jest jedną ze szpil spajających album: w *Mariners Apartment Complex* z poprzedniej płyty śpiewała: *You took my sadness out of context/At the Mariners Apartment Complex/I ain't no candle in the wind*, z kolei w tym utworze już *No more candle in the wind*. Nie jest już tą samą osobą, idzie w zupełnie innym kierunku – tym razem ziemskim, nie sennym.

Chemtrails Over The Country Club to płyta, która obcuje z odbiorcą w sposób inny niż dotychczas robiły to jej poprzedniczki, jest swoistym manifestem prostoty, a jednocześnie intymnym wyznaniem, delikatnym snem i możliwym do urzeczywistnienia marzeniem. Siódmy już album różni się od wcześniejszych, ale w żadnym stopniu się od nich nie odcina – nawet się do nich odwołuje. Całokształt krążka jest przyjemny w odbiorze, każdy utwór w jakimś stopniu się ze sobą łączy i coraz bardziej odkrywa przed nami autorkę. *Chemtrails Over The Country Club* to album rewolucyjny dla artystki, wykonany wzorowo i wybitnie dobry. Czy zmieni on branżę muzyczną o 180 stopni? Wątpię. Czy stanowi wielką zmianę w karierze Lany Del Rey? Oczywiście, i za to należy ją chwalić – zawsze bowiem będzie szczerą wobec fanów a przede wszystkim względem siebie. A jak wiadomo szczerść w naszych czasach bywa towarem deficytowym.

Dorosłość

Maja Aulak

myśleliśmy że będziemy się upajać winem
nie żalem
teraz jedynie profilaktyka
rynek pracy
i zmywanie naczyń
nie chcieliśmy brać życia
na wynajem
pod klucz
zamknąć na zamek błyskawiczny posiłek
przełknąwszy dumę
telefon do lekarza i sympatii
odrzucone uczucia i połączenia
ostatnia pasja
cukier na przecenie

Ad extremum

Aga Becherka

Nareszcie.

Nie ma nikogo. Jestem sama.

W końcu.

Współczucia i strachu ni grama.

Ostatecznie.

Zapomnieli. Nikt nie pamięta.

Wreszcie.

Jestem w pustce zapadnięta.

Na koniec

Justyna Marcinkowska

Uff, opada ciężko
w pyłe i ląduje na
śmieciu zgromadzonym.
Zgniata. Przy-dusza
oddech ludzki
bo już nie wróca.
Ufff rozluźniają się wiązania
stropy tynki belki betony.
No i sypie się sypie na siebie
i pod siebie też trochę.
Żadne zrzędzące oczy
nie trzymają w kupie ścian.
Żadne chuchnięcia nie wycierają kurzu
więc kurzy się namiętnie
i zatęcha pleśnieje grzybieje
bo wreszcie może.
Zlatują się gołębie
jakieś krzaki rosną bo też
czemu nie.
Czasami trochę smutno
jak już się tak
usiądzie doszczętnie
uffnie, ze śmieciami grzybami i w ogóle.
Bo ludzie byli i ludzie budowali
i jakoś było się w kupie
a teraz będzie
będzie kupa gruzu.

Tragedia liturgiczna

Dominik Prądyński

Wierny: o jak trwoga to do BOGA
szukam BOGA BÓG się chowa
BOGA nie ma (*słuchać w dole*)

Chór: wrzeszczą DIABŁY w zwartym kole

Diabły: nieśmiertelnej nie ma duszy
nie ma końca tych katuszy
życie WIECZNE nie BEZPIECZNE
tak jak MLECZE nie są MLECZNE

Wierny: Cóż za trwoga w mojej duszy
jak uniknąć tych katuszy?

NIKT nie zdoła (*słuchać w dole*)

Chór: wrzeszczą DIABŁY w zwartym kole

Diabły: wkrótce koszmar BÓSTW się ziści
krąg piekielny nienawiści
zamiast diabłów – ATEIŚCI.

Re: Arystokracja

Filip Kaczmarek

Szanowny Panie,

nie ma Szanowny Pan prawa zaczynać od „witam”,
albowiem, Szanowny Panie, to ja stanowią prawo,
moja jest Moc i mój jest Blask!

Będę zobowiązany, jeśli poczęstuje się Szanowny Pan kawałkiem
ciemności.

Nie ma Szanowny Pan prawa pisać „pozdrawiam”,
przywilej to MÓJ, niezbywalny!

Proszę pamiętać, do kogo się Szanowny Pan zwraca,
następnym razem nawet nie odpowiem.

Proszę napisać ponownie i tym razem poprawnie.

Pozdrawiam (ja mogę!) 😊

{wstaw tytuł/stopień/nazwisko/funkcję}

Psuje nas cisza

Katarzyna Zapała

Popadamy w obłąd. Średnio sześć tysięcy myśli na dobę, znajomość bierna około trzydziestu tysięcy słów. Pleciemy. Ile? Tyle, ile możemy. Co poradzić, kiedy naprawdę chcemy mieć coś do powiedzenia. A przecież liczą się chęci, nie?

Nasze pokolenie było... A nasze zrobiło, a wasze to już jest... Eh, ten XXI wiek. Starcy jesteście, nudziarze, puści, zepsuci. Oj, tak zepsuci, aż do kości. Ale przecież... A co ty tam wiesz. Tyle, ile mi każą, proszę pana. Czy was coś interesuje? My w waszym wieku byliśmy wszędzie, chcieliśmy poznawać, zdobywać, wiedzieć. Taka choroba, zmieniło się wiele. Cemu nie odpowiadacie? Cisza? Przeczytajcie na kolejne zajęcia... Przeczytaliście? Co sądzicie. Ja myślę... Może i tak, może i tak, ale bardziej chodzi o to... Trudno się nie zgodzić, proszę pani. Ale musiałbym to jeszcze przemyśleć. No tak, dobre lektury pozostawiają wiele do przemyślenia. Siebie na przykład. Na kolejny raz przeczytajcie... I co sądzicie? Fantastyczne, proszę pani, inspirujące, ciekawa narracja, zadziwiająca jak... Ej, ty to czytałeś, mówiłeś, że nic a nic. No nic a nic. Serio. Tak to działa. A ja czytałam. I co? I nie zrozumiałam. No widzisz. Nic a nic. Cisza. A słyszeliście o tym... To jest skandaliczne, ja nigdy nie zrozumiałam, jak...

Jak możesz!

Myślałem, że to będzie wyglądać trochę inaczej. No jak to, przecież dobrze jest. A wcale. Nic a nic. Męczę się. Nie rozumiem. Za cicho jest. Jak to cicho, przecież dyskutujemy. Nie myślałem naprawdę. Ale co? No co ty tak... Denerwuje mnie staranie. Na siłę. Dyskutujecie? Żywo, z energią,

o książkach, których nawet nie czytaliśmy. Sama widziałam cię z książką, patrzyłeś na kartki. No, patrzyłem. Wiesz, zawsze jak patrzę na tego z tyłu, to myślę sobie, że on naprawdę czyta. Dlaczego? Nic nie mówi. Czasem się uśmiechnie, raz go zapytała o opinie. I co? I powiedział, że zgadza się ze zdaniem kolegów. I wiesz, wydaje mi się, że on nas wszystkich przejrzał. On nie musi mówić — Boże, co my gadamy. Czego nie. Ale tak ciężko nic nie mówić. Niezręczna cisza. Prawda. Ale czasem tak sobie myślę, że on to naprawdę nas wszystkich przejrzał. Że jak? Że my umiemy ładnie mówić. Ale jak? No odzywamy się. A on czemu nie? A skąd mam wiedzieć? Ale nas przejrzał, to widać. Niby jak? No mówiłem, że się uśmiecha. Jak? No normalnie, twarzą, ustami. I co myśli? Myślę, że myśli, że myślimy, że on nic a nic się nie zna. Bo nie zna, sam mówiłeś, raz tylko powiedział, że się z nami zgadza. Co on tam wie. Kto wie. No kto wie. A przeczytałeś tę książkę, no jak to było... Nic a nic. Ale może się ktoś odezwie. Odezwie? Na pewno!

To teach or not to teach

Dominik Prądyński

Któregoś dnia opuścił mnie rozum i wpadłem na absurdalny pomysł, żeby zostać korepetytorem — uprawiać sport ekstremalny nawet dla osób o anielskiej cierpliwości i ogromnych pokładach intelektu.

Moja pierwsza uczennica: Sandra, lat trzynaście, do prawej ręki przyklejony telefon, do lewej łakoc skradziony z szuflady kuchennej, włosy tłuste i brązowawe, oczy tylko brązowawe. Jej ciało miało formę rozgotowanego kopytka. Nie zwróciłbym uwagi na wygląd tego dziecka, gdyby tak nie pasował do sposobu bycia. Kiedy poznałem Sanderkę (nigdy nie mówiłem o niej per Sandra, zawsze

mutowałem jakoś jej imię) zastanawiałem się, czy zawsze zachowuje się jak w stanie przedzawałowym. Ruszała się, jakby ktoś wokół niej zagęścił powietrze. Mówiła niskim głosem i zawsze przez nos, momentami brzmiała i miała wyraz twarzy jak Skalmar Obłynos ze *Spongeboba Kanciastoportego*.

Pamiętam nasze pierwsze zajęcia, jakby odbyły się wczoraj. Wchodzę, wita mnie Krysia (mama) i Zbyszek (tata). Krysia uchachana, rozanielona, kokietuje, zaczepia, dzień dobry, może kawka, może ciastko? Jako drobny, niewinny chłopiec lat dwadzieścia, zakłopotany uśmiecham się, świecę jedynekami, dziękuję, może później, przejdźmy już do rzeczy. Pani Krystyna patrzy na mnie z szacunkiem, respektem, że rzetelny, że porządny, milcząco zachwyca się moją personą, cisza towarzysząca przenikliwemu spojrzeniu, a może raczej lampieniu się, rozpyła się po mieszkaniu jak tanie perfumy z działu drogerijnego w Carrefour.

Wchodzę do mikropokoju Sanderiny i siadam do jej makrobiurka (zajmowało dosłownie połowę sypialni dwa na dwa metry kwadratowe). Wertuję podręczniki od angielskiego, żeby nie zaatakować jakimś presentem perfectem albo innymi gramatycznymi enigmami, bo chcę powolutku, żeby się nie wystraszyła swojej niewiedzy. Ostatecznie to ja miałem się jej wystraszyć, i to śmiertelnie. Odmień to be, hm, y, e, mm, no to tak: I are, you is, they is... Jezu, nie, nie. Nie. Spokojnie. Skup się. Ale skupienie przynosi tylko znacznie bardziej spektakularne fenomeny językowe. Czuję, jak po policzkach spływa mi fantomowa krew z uszu. Oczywiście daję jej szansę, tabula rasa i inne pierdoły, jeszcze raz, dyktuję jej powolutku cały materiał, ona pisze kwiatki typu: ju, szy, dej, ja już tracę przytomność, słyszę w oddali koguta karetki, już po mnie jedzie... ale dzielnie znoszę wszystko. Każę się wszystkiego wykuć na blachę.

Nie wiem wtedy jeszcze, że nigdy w trakcie naszej współpracy nie wykona innego mojego polecenia niż „zrób mi kawkę, słońce!”.

Wychodzę z pokoju. W szpony chwytą mnie Krystyna. Odpicowana czterdziestka. Mam wrażenie, że obłapia mnie wzrokiem, jakby wysącała moją młodość i niewinność. A że jestem do bólu miły, czarujący i do rany przyłoż, to ona mnie przykłada wszędzie, gdzie może, a ja już nie chcę słuchać o jej córce i o mężu, którego za dobrze już nie pamiętam (w głowie mam tylko jego klapki adidas), nie chcę słuchać o jej rozstęпах i o serniku z niedzieli, ale ona nie może zamilknąć, tylko przedłuża moją usługę i wiem, że za to pogaduszkowe pasożytnictwo nie dostanę złamanej eurogąbki, nie wspominając nawet o groszu. Kątem oka zerkam na jej męża, który puszcza ostentacyjnie bąka, potem zaś na Sandrulkę, która ogląda jakiś mózgotrzep na YouTube i chichocze tępawo jak gremlin. Kiedy mija czterdziesta minuta, wiem, że muszę na następne zajęcia opracować bajeczkę o odbierającym mnie samochodem wujku, zawsze punktualnie o danej godzinie, toteż przepraszam, ale pogadać nie mogę.

Było tylko lepiej. Już dwa miesiące później słuchałem od Krysi o jej problemach z mężem w sypialni, zajadałem się resztkami pieczonej kaczki, a w tle gdzieś była Sandrita, która, brnąc na ślepo w past simple, nadal pisała w zeszycie nieszczęsne dej i inne przykre ju. Po czterech miesiącach moich usilnych starań, żeby ten nieużywany narząd pomiędzy jej uszami zaczął funkcjonować, Krystyna wytoczyła uwagę, że, no wiesz, nie, żeby coś, ale Sandra nie robi żadnych postępów, no to chyba nie idzie ci najlepiej, coś jest chyba nie halo. Tak, Krysiu, twoja córka jest totalnie nie halo, wyprodukowałaś małą idiotkę przyklejoną do telefonu i zwalasz odpowiedzialność na obcego człowieka, żeby naprawiał twoje błędy genetyczno-wychowawcze. (Te słowa niestety nie padają. Jak zwykle

głupio się uśmiecham i czerwienię, korzystając z ujemnych zasobów asertywności i godności). Wpuszczałem jej krytykę jednym uchem, a drugim się jej pozbywałem. I tak do wakacji.

Dostałem wiadomość na Fejsie. Po dodaniu znaków diakrytycznych i innych filarów ortografii i interpunkcji, brzmiałoby to mniej więcej: dzień dobry, na razie robimy przerwę, z mężem pomyślimy, co i jak. Taką formę miało moje e-wymówienie.

Los chciał, że zmieniałem wtedy numer, toteż ani Sandrzyca, ani Kryśka, ani Zbigniew — nikt z tego surreального trójkąta bermudzkiego nie miał do mnie bezpośredniego dostępu. Na ten moment tygodniowo odbywam szesnaście godzin ciężkiej pracy fizycznej i czuję, że odzyskuję powoli godność, dźwigając skrzynki z piwem na hali marketu. Zawsze wszyscy się ze mnie śmiali, że sportowcem to ja nie zostanę. Udowodniłem sobie, że mieli rację.

Orgazm nad Wisłą

Karolina Matecka

Mówiąc o polskich serialach ostatnich lat raczej mało kto odważyłby się stwierdzić, że reprezentują one produkcje wysokojakościowe. W ogromnej większości telewizję co pół roku zalewa fala wtórnych kryminałów czy komedii czerpiących inspirację z *Mazurskiej Nocy Kabaretowej*. Netflix jako nowy gracz na polskim rynku miał tę sytuację zmienić i, mimo, że początkowo wcale nie zapowiadało się na wielki przełom (*1982* i *W głębi lasu* raczej zawiodły), to najnowszą rodzimą produkcję giganta streamingu pt. *Sexify* można uznać za światło w tunelu.

Serial opowiada o Natalii, Paulinie i Monice – studentkach, które w ramach uczelnianego projektu dyplomowego postanawiają zrobić aplikację o kobiecym orgazmie. Każda z nich ma inne podejście do sfery seksualności. Natalia – pomysłodawczyni projektu – chce jak najbardziej odciąć się od odkrywania swojego ciała, pozostać w strefie komfortu, którą jest dla niej bańka odizolowanej od rówieśników geniuszki.

Paulina jest katoliczką z małego miasta, która boi się opinii wszystkich wokół, a szczególnie jej rodziców. To postać, która na przestrzeni 8 odcinków serii najbardziej się rozwinęła. Jest świetnym przykładem na to, jak twórcom udało się dodać kolorytu i głębi początkowo stereotypowej bohaterce. Jej przepychanki ze społecznymi konwenansami ugruntowują widza w polskiej rzeczywistości, zwracając uwagę na absurdy obecnej mentalności.

Monika zaś, jako najbardziej otwarta i doświadczona seksualnie, pełni rolę swego rodzaju przewodniczki pozostałej dwójki. Jej styl życia, w dużej mierze uwarunkowany majątkiem jej rodziców, sprawił, że bohaterka grana przez Sandrę Drzymalską wykształciła dużą pewność siebie, spryt i charyzmę, dzięki którym kradnie każdą scenę, w której się pojawia.

Tym, co wyróżnia *Sexify*, jest zastosowanie przez twórców rzucającej się w oczy konwencji. Kalina Alabrudzińska oraz Piotr Domalewski opakowali serial w ekscentryczne kostiumy, pastelowe kolory i niedający o sobie zapomnieć kicz. Kicz potrzebny i funkcjonalny. Jego użycie było dosyć ryzykowną decyzją artystyczną, ale – mimo kilku potknięć i zgrzytów – opłacalną. Całość przywodzi na myśl stylistykę teledysku.

Elektroniczne utwory autorstwa Radzimira Dębskiego nierozzerwalnie łączą się z przebiegiem akcji. Jest nie tylko tłem dla przedstawianych wydarzeń, ale wręcz oddzielnym bohaterem. Wraz z przebiegiem akcji zabiera ze sobą kolejne kwestie bohaterów, włączając je tym samym w lekko przerobionej formie do ścieżki dźwiękowej. W połączeniu z montażem bogatym w przyśpieszenia oraz gwałtowne i częste cięcia powstaje dynamiczna mozaika wrażeń, której najlepszym przykładem jest odcinek szósty.

Montaż tworzy tam paralele pomiędzy akcją serialu a pewnym klasykiem polskiej kinematografii. Precyzja dobrania konkretnych fragmentów filmu i tempo odcinka, jakie zostało dzięki temu osiągnięte, może jedynie zachwycać. Pokazuje to również, jak w efektowny sposób zawrzeć polską kulturę w produkcji nastawionej na uniwersalny, ponadnarodowy odbiór. *Polskość* w *Sexify* jest akcentowana rzadko, ale za to z pasującym

do konwencji przytupem i humorem. Mimo to całość jest realizowana jakby poza przestrzenią, gdzie Warszawę można byłoby wymienić na każde inne względnie duże miasto.

Nie można dać się zwieść słabemu marketingowi serialu, który w żaden sposób nie oddaje jego charakterystycznego klimatu ani nie eksponuje tego, co w nim najciekawsze. Na fotosach nie zobaczymy cudownych kostiumów i scenografii, a zwiastuny to tylko suchy zlepek dialogów, który w najmniejszym stopniu nie jest ich reprezentatywnym wycinkiem.

Choć żarty nie zawsze bawiły, a w pewnych momentach czuć, że twórcy za bardzo zapatrzili się na zachodnie produkcje, *Sexify* naprawdę ogląda się z przyjemnością. Czasami tylko niebezpiecznie skręca on w stronę kapitalistycznej bajki o niepohamowanej ambicji, dzięki której można osiągnąć wszystko. Jeśli przymruży się oko na ckliwość i naiwność, pozostaje urocza historia, która wreszcie ma szansę trafić do docelowej nastoletniej widowni.